

Nie mam się czego wstydzić

16 sierpnia 2016

Karolina Gierszewska, studentka z Poznania, opowiada portalowi Strajk.eu o tym, jak przerwała ciążę w czasach „aborcyjnego kompromisu”. Imię partnera bohaterki zostało zmienione na jej prośbę.

– Kiedy zrobiłaś aborcję?

– W 2012 roku, trzy lata temu. W ciążę zaszłam w maju, z chłopakiem, z którym jestem do tej pory. wtedy spotykaliśmy się od około trzech-czterech miesięcy.

– Kiedy się dowiedziałas?

– Po miesiącu, czyli w czerwcu. Na początku się przestraszyłam. Zobaczyłam dwie kreski, których się nie spodziewałam. Zabezpieczaliśmy się, chociaż czasem zdarzało nam się nie użyć prezerwatywy. Koleżanka zaszła w ciążę jakiś czas wcześniej i kiedy ona robiła sobie test, jedna kreska była wyraźnie widoczna, a druga bardzo słabo, u mnie było tak samo. Gdyby nie to, że pamiętałam tę sytuację, pewnie w ogóle bym nie zauważyła pozytywnego wyniku testu i jeszcze dłużej bym chodziła w tej ciąży.

– Dwie kreski i co dalej?

– Pierwszy dowiedział się o tym przyjaciel, z którym wtedy mieszkałam. Nie wiedziałam, jak to powiedzieć mojemu chłopakowi, zupełnie zgłupiałam. W końcu poszliśmy na spacer, Kuba był tak samo zszokowany jak ja. Staraliśmy się nie zajść w ciążę, zupełnie nie było nas na to stać. Nie miałam wątpliwości, że nie urodzę. Nie miałam wtedy pracy, studiowałam dziennie, rodzice nie byli w stanie mi pomagać finansowo. Utrzymywaliśmy się tylko z tego, co dorywczo zarobił mój chłopak. Starczało na wynajęcie bardzo małego pokoju w mieszkaniu studenckim, gdzie mieszkał Kuba – na pewno

nie byłoby miejsca na dziecko, ja mieszkałam kątem u tego kolegi za darmo. To mój były chłopak, przyjaźnimy się. Reszta pieniędzy szła na jedzenie. Ciągłe nam brakowało. Poza tym byliśmy razem tylko pół roku, żadne z nas nie wyobrażało sobie, że moglibyśmy zostać rodzicami. Wspólnie podjęliśmy decyzję, że nie będziemy rodzić. Czy ja w ogóle mogę o tym mówić?

– Możesz, dlaczego miałyabyś nie móc?

– No mnie nie mogą skazać za to, że przerwałam ciążę, ale mojego chłopaka? Za to, że mnie wspierał?

– Nie, przecież nie przerwał twojej ciąży, nie załatwił ci tabletek. Skąd w ogóle wiedziałaś o istnieniu tabletek poronnych, których w końcu użyłaś?

– Rok wcześniej byłam na obozie letnim Młodych Socjalistów, tam było spotkanie z Izą Desperak, taką łódzką feministką. Ona opowiadała o Women on Web, inicjatywie, która pomaga dziewczynom i kobietom w takiej sytuacji jak ja, mieszkających w krajach, gdzie aborcja jest nielegalna. Pamiętam, że żałowałam wtedy, że nie wiedziałam o tym rozwiązaniu kilka miesięcy wcześniej, kiedy o ciąży dowiedziała się ta koleżanka, która też miała niewyraźną drugą kreskę na teście, mogłabym jej pomóc.

– Dlaczego wybrałaś tabletki?

– Kiedy dowiedziałam się o swojej ciąży, próbowałam znaleźć informację, ile kosztuje wyjazd na zabieg za granicę, ale okazało się, że tabletki są znacznie tańsze. Zresztą pieniądze na nie i tak musiałam pożyczyć od przyjaciela.

– Jakie to kwoty?

– 300 euro kosztuje wyjazd na Słowację czy do Czech, tam jest najtaniej, ale i tak to kwota zupełnie poza naszymi ówczesnymi możliwościami. Tabletki kosztują 150 euro plus przesyłka – to

teoretycznie darowizna, chociaż raczej obowiązkowa. Napisałam maila, wyjaśniłam, że 150 euro to dla mnie za dużo, że nie stać mnie na to, więc zapłaciłam w końcu 75. Przesyłka szła miesiąc, strasznie się denerwowałam. Nie wiedziałam dokładnie, kiedy doszło do zapłodnienia. Myślałam, że jestem w 4. tygodniu, ale lekarz powiedział, że to 6., a nawet początek 7. tygodnia. A aborcję farmakologiczną można przeprowadzić tylko do 12. tygodnia, miałam więc mało czasu. Gdyby nie doszły na czas, musiałabym rodzić, bo nie było szans na wysupłanie tych 300 euro na wyjazd.

– Ale przyszły na czas?

– Tak, pamiętam, że dostałam SMS-a, że już są, kiedy siedziałam u rodziców Kuby. Jego matka pytała, czy chcę mieć dzieci. Jak najszybciej wróciliśmy do Poznania i wzięłam tabletki.

– Jak się je przyjmuje?

– Wszystko było w mailu, który dostałam od Women on Web. Pierwsza tabletka hamuje wydzielanie hormonu, który podtrzymuje ciążę. Drugą bierze się 24 godziny po pierwszej. Spodziewałam się, że już po tej pierwszej zacznę się źle czuć. Zażyłam pierwszą dawkę, obejrzeliśmy film. Potem poszliśmy do mieszkania znajomych, które jest obok szpitala. W instrukcji z WoW było napisane, że powinno się mieć możliwość szybkiego dotarcia do szpitala, na wszelki wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Ale wszystko było w porządku. Czekałam 24 godziny aż będę mogła wziąć następne tabletki, które przyjmuje się w dwóch porcjach, rozpuszcza się je pod językiem. One wywołują skurcze. Na stronie było napisane, że bóle zaczynają się dopiero po drugiej porcji, ale rozmawiałam wcześniej z inną dziewczyną, która przerywała w ten sposób ciążę i ona mówiła, że mogą się pojawić już po pierwszej. Wszystko zależy od przebiegu ciąży i od wielu innych rzeczy. Tak było u mnie, pół godziny po pierwszej porcji zaczęłam się zwijać z bólu. Najbardziej bezmyślną rzeczą było to, że nie zaopatrzyliśmy

się w silne leki przeciwbólowe, mieliśmy tylko jakiś Ibuprom czy Apap.

– Bardzo bolało?

– W ogóle sobie wcześniej nie wyobrażałam, że może tak boleć. Na początku było jak przy ostrym pierwszym dniu menstruacji, ale potem bolało coraz bardziej, chodziłam po ścianach. Później się okazało, że u Kuby w mieszkaniu był Ketonal (silny lek przeciwbólowy na receptę), ale wtedy o tym zapomnieliśmy. Kuba wydzwaniał po znajomych, pytając czy ktoś może ma jakieś mocne leki, bo było naprawdę źle, myślałam, że umrę z bólu. Była sobota wieczór, wszyscy byli na imprezach, a ja siedziałam zgięta wpół na kiblu, nie będąc w stanie się ruszyć. W końcu gdzieś od kogoś zdobył ten Ketonal, wzięłam i trochę przeszło. Po godzinie czy półtorej miałam wziąć następną porcję tabletek poronnych. Myślałam, że tego nie zrobię, że nie wytrzymam tego koszmaru, ale wzięłam. Jakąś godzinę później usłyszałam takie chlupnięcie, myślę, że wtedy stało się to, co się miało stać.

– I co zrobiłaś? Pojechałaś do lekarza?

– Nie, według instrukcji musiałabym jechać tylko wówczas, gdyby krwawienie było bardzo silne, gdybym mdlała z bólu albo wymiotowała. Gdybym pojechała wtedy do szpitala, tylko niepotrzebnie bym się denerwowała. O północy czy o pierwszej w nocy było po wszystkim. Czułam się fatalnie, poszłam spać czy raczej próbowałam zasnąć. Najgorsze było to, że miałam wtedy sesję egzaminacyjną, byłam przekonana, że sobie poradzę, że to nie będzie miało wpływu. Tymczasem przez cztery dni po aborcji nie miałam w ogóle siły wyjść z domu. W czwartek musiałam już się ruszyć, żeby iść do ginekologa, znajoma mnie odwoziła. Trzeba było sprawdzić, czy całe przedsięwzięcie się powiodło. Pamiętam, że było mi strasznie niedobrze w autobusie.

– Jaka była reakcja ginekologa?

– Zmartwił się, że już nie jestem w ciąży. Powiedziałam, że no

trudno, zdarza się, w zasadzie wyglądało to tak, jakbym to ja go pocieszała. Ten lekarz pracował w szpitalu na Polnej, kazał mi przyjść następnego dnia na łyżeczkowanie macicy, żeby się pozbyć wszystkich resztek ciąży.

– Nie zorientował się, że to była aborcja?

– Nie, chyba nie, a przynajmniej nic nie mówił. Następnego dnia w szpitalu było strasznie dziwnie, siedziałam w poczekali z grupą kobiet w zaawansowanej ciąży. Pewnie gdybym naprawdę poroniła chcianą ciążę, byłoby mi z tym ciężko. Położna była bardzo miła, empatyczna. Psycholog przyszła, stanęła na korytarzu, gdzie siedziało z dziesięć kobiet z wielkimi brzuchami i ja. Zawołała: „Pani Karolino, pani jest po poronieniu, jakby pani chciała ze mną porozmawiać, to zapraszam na górę” – i znowu, gdybym straciła dziecko, którego bym chciała i została w ten sposób wywołana z tłumu przyszłych matek, pewnie bym się poryczała.

– Poszłaś do niej?

– Nie, nie, chciałam jak najszybciej wyjść. Sam zabieg był krótki, dali mi głupiego jasia. Położna przyszła, pytała jak się czuję, przyniosła mi obiad. Chciałam już iść do domu, ale nie chciała mnie puścić samej, pytała, gdzie chłopak, czemu po mnie nie przyszedł. Zadzwoeniłam po Kubę i pojechaliśmy do domu. I tyle.

– To było trzy lata temu. Jak to oceniasz z perspektywy czasu? Mówisz, że wtedy byłaś pewna, że to dobra decyzja, teraz też tak myślisz?

– Nie chciałabym przechodzić tego znowu. Teraz jestem na tabletkach antykoncepcyjnych, kiedy okres nie pojawia się dokładnie wtedy, kiedy powinien, panikuję, że znowu jestem w ciąży i że znowu będę musiała to przeżywać – w dalszym ciągu nie stać nas na dziecko, chociaż teraz pracuję. Ale tego, że podjęłam wtedy słuszną decyzję, jestem o wiele bardziej pewna niż trzy lata temu. Jak byłam w ciąży, szalały we mnie

hormony. Stawałam na środku ulicy i zaczynałam ryczeć, a potem mówiłam Kubie, że ja chyba wcale nie chcę usuwać ciąży, a potem że jednak chcę, że się boję, że nie wiem, co zrobić. Miałam taką burzę hormonalną, że byłam nie do wytrzymania, sama sobie nie radziłam z moją głową, co dopiero ludzie wokół mnie. Starałam się ograniczać używki, bo gdyby coś nie wyszło z aborcją, chciałabym, żeby było zdrowe, więc np. nie piłam alkoholu, rzuciłam fajki.

– Gdybyś urodziła, to ile teraz by miało twoje dziecko? Koło dwóch lat?

– Jezu, chodziłoby już, mówiło. Zastanawiam się oczywiście, jakie by było, np. czy byłoby chłopcem czy dziewczynką. Ale nie żałuję tamtej decyzji. Nie chciałabym w ten sposób zmieniać mojego życia. Nie wiem, skąd wzięłabym pieniądze na utrzymanie dziecka, nie wiem, jakby było, gdyby się pojawiło, kompletnie sobie tego nie wyobrażam.

– Znasz pewnie historie o syndromie postaborcyjnym, o tym, że aborcja unieszczęśliwia. Jakie były i są twoje odczucia w związku z dokonaniem aborcji?

– Po pierwsze poczułam ulgę. To, że udało mi się bezpiecznie usunąć ciążę, że nic mi się nie stało i że nie musiałam urodzić dziecka, jeszcze nie daj Boże dziecka niepełnosprawnego – tego się bałam najbardziej, że tabletki nie zadziałają, ale uszkodzą płód – to do tej pory jest dla mnie ogromna ulga. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym mieć dziecko, to abstrakcja. Wydaje mi się, że syndrom postaborcyjny to nie jest coś, co się dzieje w głowie kobiety, bo usunęła ciążę, tylko dlatego, że wszyscy wokół jej wmawiają, że kobieta musi być matką, że zawsze musi urodzić. Od tego można zwariować, od przekonania, że nie spełniło się oczekiwań społeczeństwa, które wmawia ci, że zrobiłaś coś strasznego. Bardzo często ludzie sobie z tym nie radzą.

– A ty jak sobie z tym radzisz? W mediach masz nieustający

jazgot, ciągle obcy ludzie z telewizora powtarzają, że jako kobieta, która usunęła ciążę, jesteś morderczynią, zabiłaś swoje dziecko, wylewa się na ciebie wiadro pomyj.

– Po pierwsze, w moim środowisku nikt tak nie uważa. Dostałam wsparcie od moich rodziców – najpierw powiedziałam mamie, dobrze to przyjęła. Stwierdziła, że oczywiście gdybym zdecydowała się urodzić, to by mi pomogli, że mogłabym do nich wrócić – mieszkają na wsi, mają małe gospodarstwo, nie przelewa im się – ale skoro już tak się stało, to nie ma co rozpaczać, to w końcu była moja decyzja. Kazała nie mówić ojcu. I tak w końcu się dowiedział, też nie miał pretensji. W Poznaniu funkcjonuję w środowisku, w którym nie muszę tego ukrywać, mam koleżanki, które przerwały ciążę, z którymi mogę o tym rozmawiać. Nie ukrywam tego, wszyscy wiedzą, nikt mi nie wypomina aborcji, nikt mnie nie obraża. Chyba trudniej jest mówić te wszystkie obrzydliwe rzeczy o kimś, kogo się zna, z kim się chodzi na zajęcia czy wspólnie pracuje. A przekaz z mediów? Ci ludzie niczego o mnie nie wiedzą, nie znają mojej sytuacji, nie obchodzi mnie, co mówią.

– A jak relacja z niedoszłym ojcem, twoim chłopakiem Kubą? Dalej jesteście razem, prawda? Jaki ta aborcja miała na was wpływ?

– To się działo na początku naszego związku, po kilku miesiącach bycia razem. Byliśmy niedogadani, niedoszlifowani. Myślę, że gdybym zdecydowała się urodzić, nie bylibyśmy już razem – dziecko generuje mnóstwo konfliktów, nie byliśmy w żadnym wypadku gotowi, by zostać rodzicami, a między nami w ciągu tych trzech lat i tak było dużo rzeczy, które musieliśmy przepracować. Jeśli chodzi o samą aborcję, to był wtedy przy mnie, był bardzo wspierający, zachował się odpowiedzialnie. Dzisiaj dalej planujemy wspólną przyszłość, chociaż raczej nie wspólne dzieci, co najwyżej adoptujemy jeszcze jednego kota.

– Nie boisz się podawać nazwiska?

– Dlaczego? Nie mam się czego wstydzić, podjęłam dobrą, odpowiedzialną decyzję.

Z Karoliną Gierszewską rozmawiała Justyna Samolińska

Źródło: Strajk.eu